

TOM  
**CLANCY**  
MARK GREANEY



**WEKTOR ZAGROŻENIA**

# Prolog

Nastały ponure dni dla byłych agentów Dżamahirijji, budzącej trwogę libijskiej służby bezpieczeństwa w czasach Muammara Kaddafiego. Ci, którzy zdołali przeżyć rewolucję, rozproszyli się i pozostawali w ukryciu; lękali się dnia, w którym ich dawne bestialstwa wyjdą na jaw i przyjdzie im za nie zapłacić.

Rok wcześniej, gdy stolica Trypolis wpadła w ręce popieranym przez Zachód rebeliantów, niektórzy agenci bezpieki pozostali w kraju, licząc na to, że zmiana tożsamości uchroni ich przed zemstą. Rzadko uchodzili z życiem, gdyż ci, którzy znali ich tajemnicę, chętnie wydawali agentów rewolucjonistom – albo po to, by wyrównać dawne rachunki, albo żeby zasłużyć sobie na wdzięczność nowej władzy. Szpiegów Kaddafiego osaczano w kryjówkach, torturowano i zabijano; innymi słowy, traktowano ich tak, jak na to zasługiwali, choć na Zachodzie żywiono złudną nadzieję, że po opanowaniu kraju przez rebeliantów dawni zbrodniarze zostaną sprawiedliwie osądzeni.

Nie było w Libii miejsca na litość po śmierci Muammara Kaddafiego, podobnie jak nie było jej przedtem.

Oblicze nowej władzy nie różniło się od oblicza starej.

Sprytniejsi spośród szpiegów Dżamahirijji wymknęli się z kraju, zanim ich pojmano, i przedostali się do innych afrykańskich państw. Tunezja leży tuż obok, lecz wrogo traktowano tam byłych agentów Wściekłego Psa Bliskiego Wschodu; takim przydomkiem obdarzył

Kaddafiego Ronald Reagan i było to trafne określenie. W Czadzie działo się fatalnie, Libijczycy zaś byli tam widziani równie niechętnie jak w Tunezji. Niektórzy dotarli do Algierii, inni do Nigru; w obu tych krajach mogli liczyć na względne bezpieczeństwo, lecz perspektywy przybyśzów wyglądały marnie.

Jedna grupa ściganych byłych agentów Dżamahirijji poradziła sobie lepiej od reszty dzięki temu, że wykorzystwała atut dający im znaczną przewagę nad kolegami. Nieliczna komórka szpiegów od lat działała nie tylko na rzecz dyktatury Muammara Kaddafiego, ale także z myślą o pomnożeniu swoich majątków. Przyjmowali fuchy zarówno na terenie Libii, jak i za granicą; wykonywali zlecenia rozmaitych organizacji przestępczych, takich jak Al-Kaida czy Rada Rewolucyjna Umajjad, a nawet wywiadów niektórych państw na Bliskim Wschodzie.

W trakcie realizacji zadań grupa poniosła straty jeszcze przed upadkiem libijskiego rządu. Paru jej członków zginęło z rąk amerykańskich agentów na rok przed śmiercią Kaddafiego, a podczas rewolucji kilku innych poległo, gdy samoloty NATO przeprowadziły nalot na port w Tobruku. Dwóch schwytano, zanim wsiedli do samolotu na lotnisku Misrata; porażano ich prądem, a następnie powieszono nagich na targowisku na hakach rzeźniczych. Jednakże siedmiu członków komórki służby bezpieczeństwa zdołało przeżyć i wydostać się z kraju; lata pozaprogramowej działalności zarobkowej nie przyniosły im fortun, lecz gdy trzeba było czmychnąć niczym szczury z okrętu o nazwie Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna, zagraniczne kontakty uchroniły ich przed rewolucjonistami, którzy przejęli władzę w ojczyźnie.

Siódemka dotarła do Stambułu, stolicy Turcji; tam otrzymała wsparcie finansowe od członków miejscowego półświatka, którzy byli im winni przysługę. Dwaj byli agenci odeszli i znaleźli uczciwe zajęcia. Jeden został ochroniarzem w sklepie z biżuterią, a drugi zatrudnił się w fabryce tworzyw sztucznych.

Pozostała piątka nadal uprawiała szpiegowski proceder i reklamowała się jako oddział doświadczonych oficerów wywiadu. Dbali o to, by zapewnić sobie maksymalne bezpieczeństwo osobiste i operacyjne, mając świadomość, że tylko w taki sposób uchronią się przed odwetem

ze strony agentów nowych władz Libii. Od kraju dzieliła ich zaledwie szerokość Morza Śródziemnego.

Przez kilka miesięcy ściśle przestrzegali ustalonych zasad, lecz później wkradła się w ich szeregi zbyt duża pewność siebie i jeden z nich je złamał, nawiązując kontakt ze starym znajomym w Trypolisie. Człowiek ów, by chronić swoją głowę, już wcześniej poszedł na współpracę z nową władzą, kiedy więc zadzwonił do niego dawny przyjaciel, zgłosił ten fakt dopiero co utworzonej służbie wywiadowczej porewolucyjnej Libii.

Pracownicy nowego libijskiego wywiadu byli niezmiernie radzi, że udało im się namierzyć grupę wrogów z ancien régime, którzy przyczaili się w Stambule, jednak nie mogli zrobić z tej informacji użytku. Przerzucenie oddziału wywiadowczego do stolicy obcego państwa z zadaniem likwidacji bądź pojmania określonej grupy osób dalece przekraczało możliwości świeżo upieczonej agencji, która nawet jeszcze nie zdążyła się rozlokować w nowej siedzibie.

Cynk trafił jednakże do innej organizacji, ta zaś dysponowała odpowiednimi środkami i miała motywację do podjęcia działań.

Wkrótce potem członkowie stambulskiej komórki dawnego libijskiego wywiadu stali się celami operacyjnymi. Ci, którzy podjęli tę operację, nie byli libijskimi rewolucjonistami dążącymi do zgładzenia resztek reżimu Muammara Kaddafiego. Nie był to także żaden z wywiadów krajów zachodnich, który pragnął załatwić porachunki z dawnymi wrogami.

Libijczyków wziął na cel oddział skrytobójców, o którym próżno by szukać jakiegokolwiek wzmianki w oficjalnych dokumentach służb wywiadowczych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Ponad rok wcześniej członek tej samej komórki Dżamahirijji zastrzelił Briana Carusa, brata jednego z amerykańskich agentów i przyjaciela pozostałych. Zabójca niebawem zginął, lecz reszta oddziału przetrwała rewolucję i prowadziła wygodne życie w Turcji.

Jednakże brat Briana oraz jego przyjaciele o nich nie zapomnieli. I nie przebaczyli.

# 1

Pięciu Amerykanów siedziało przez kilka godzin w nędznym hoteliku, czekając, aż zapadnie zmierzch.

Ciepłe krople deszczu dudniły o szyby i poza tym nie było słychać prawie żadnych innych dźwięków, gdyż mężczyźni niewiele mówili. Pokój stanowił ich bazę operacyjną, chociaż czterech spośród nich mieszkało od tygodnia w innych hotelach. Przygotowania dobiegły końca i wszyscy przenieśli się wraz ze sprzętem do piątego członka zespołu.

Teraz siedzieli nieruchomo jak głazy, jednak tydzień upłynął im pod znakiem gorączkowej aktywności. Prowadzili inwigilację celów, opracowywali plany działania i przykrywkę, uczyli się na pamięć kilku wariantów tras ucieczki; musieli także obmyślić akcję pod względem logistycznym.

Wszystko było już gotowe, pozostało im więc tylko siedzieć w ciemności i czekać.

Od południa dobiegł odgłos gromu; gdzieś w dali nad morzem Marmara uderzył piorun i na chwilę oświetlił pięć posągów zgromadzonych w hotelowym pokoju. Potem znów okryła je ciemność.

Hotel stał w dzielnicy Stambułu o nazwie Sultanahmet; wybrali go na dziuplę ze względu na obecność podwórza, na którym mogli zaparkować samochody, oraz dlatego, że miejsca, w których mieli wieczorem przeprowadzić poszczególne elementy operacji, znajdowały się mniej więcej w równej odległości od niego. Na wybór nie wpłynęło

jednak pozytywnie to, że na łózkach leżały kapy z syntetycznych tkanin, że korytarze były brudne, a obsługa gburowata i że z parteru, na którym mieściło się schronisko młodzieżowe, unosił się specyficzny zapach gotowanych potraw.

Jednakże Amerykanie nie skarżyli się na swoją kwaterę; myśleli jedynie o czekającym ich zadaniu.

O dziewiętnastej dowódca oddziału spojrzął na chronograf, który nosił na nadgarstku; czasomierz był przypasany do bandażu, które okrywały całą jego dłoń i część przedramienia. Wstając z drewnianego krzesła, mężczyzna powiedział:

– Wychodzimy pojedynczo, w pięciominutowych odstępach.

Dwaj członkowie grupy siedzieli na łóżku upstrzonym szczyrzymi odchodami, jeden opierał się o ścianę obok drzwi, a jeden stał przy oknie. Wszyscy skinęli głowami.

– Cholernie mi się nie podoba, że musimy dzielić akcję na części – ciągnął dowódca. – Nie w taki sposób działamy, ale szczerze powiedziawszy, zmuszają nas do tego okoliczności... Jeśli nie załatwimy tych palantów równocześnie, wieść się rozniesie i rozbiegną się jak karaluchy.

Pozostali słuchali w milczeniu. W ciągu minionego tygodnia mówili o tym wielokrotnie, mieli świadomość zagrożeń i znali zastrzeżenia dowódcy.

Nazywał się John Clark; wykonywał takie zadania, kiedy najmłodszych spośród jego podwładnych nie było jeszcze na świecie, toteż liczyli się z jego słowem.

– Mówiłem już o tym, panowie, ale pozwólcie mi powtórzyć raz jeszcze. W tej akcji nie będzie punktów za styl. – Zawiesił głos. – Wchodzimy i znikamy. Szybko i na zimno, bez chwili zawahania, bez litości.

Wszyscy skinęli głowami.

Clark dokończył przemowę, a potem włożył granatowy prochowiec; miał pod nim trzyczęściowy garnitur w prążki. Podszedł do okna i lewą ręką uściśnił dłoń Dominga „Dinga” Chaveza. Ding był ubrany w skórzany płaszcz do kolan i wełnianą czapkę. U jego stóp leżała płócienna torba.

Zauważył kropelki potu na twarzy swojego mentora. Wiedział, że Clark cierpi, a mimo to przez cały tydzień nie wypowiedział ani słowa skargi.

– Dasz radę, John? – zapytał.

Clark skinął głową.

– Jakoś się z tym uporam.

Sam Driscoll wstał i John podał mu rękę. Sam miał na sobie dżinsową kurtkę i spodnie oraz ochraniacze na łokciach i kolanach; na łóżku, na którym przed chwilą siedział, leżał czarny kask motocyklowy.

– Mister C. – rzekł Sam.

– Gotowy do pacnięcia muchy? – spytał John.

– W stu procentach.

– Wszystko zależy od kąta. Trzeba wybrać właściwy i pójść na całość, resztę zrobi siła rozpędu.

Sam skinął głową; kolejna błyskawica rozświetliła wnętrze pokoju.

John podszedł do Jacka Ryana juniora. Ten był ubrany na czarno od stóp do głów; miał na sobie bawełniane spodnie, wełniany pulower i czapkę zwiniętą na czole, podobną do tej, którą nosił Chavez. Jego buty z miękkimi podeszwami przypominały czarne pantofle. Clark podał dwudziestosiedmiolatkowi dłoń i powiedział:

– Powodzenia, młody.

– Dam radę.

– Wiem o tym.

Na koniec John obszedł łóżko i uściśnął lewą rękę Dominica Carusa. Dominic miał na sobie czerwono-złotą koszulkę i lśniącą złotą chustę z czerwonym napisem „Galatasaray”. Strój odróżniał go od kolegów, których ubrania utrzymane były w stonowanych kolorach, jednak jego twarz nie zdradzała radości.

– Brian był moim bratem – rzekł z posępną miną. – Nie musisz mi...

– Rozmawialiśmy już o tym? – wpadł mu w słowo Clark.

– Tak, ale...

– Synu, nie wiadomo, co ta piątka kombinuje w Turcji, ale ta akcja to coś więcej niż zemsta za twojego brata. Mimo to dzisiaj wszyscy jesteśmy jego braćmi. Siedzimy w tym razem.

– Tak, ale...

– Skup się na zadaniu i niczym innym. Każdy z nas wie, co ma robić. Ci dranie z libijskiej bezpieki popełnili zbrodnie przeciwko własnemu narodowi i Stanom Zjednoczonym. Ich poczynania świadczą o tym, że teraz też coś knują, i tylko my możemy ich powstrzymać. To my musimy ich skasować.

Dominic z roztargnieniem skinął głową.

– Sukinsyny zasłużyły sobie na to – dodał Clark.

– Wiem.

– Jesteś gotowy, dasz radę?

Młody mężczyzna uniósł brodę pokrytą zarostem i spojrzał dowódcy w oczy.

– Oczywiście – odparł dziarskim tonem.

John Clark nieobandażowaną ręką dźwignął aktówkę i bez słowa wyszedł z pokoju.

Czterej pozostali Amerykanie spojrzeli na zegarki; jedni stali nadal, inni usiedli. Deszcz nie przestawał dudnić o szybę.



## 2

Ten, któremu amerykańscy agenci nadali kryptonim Cel Numer Jeden, siedział przy stoliku ulicznej kafejki przed hotelem May w Mimar Hayrettin. Wieczorem, kiedy pogoda była ładna, przychodził tam na jedną lub dwie szklaneczki raki z chłodzoną wodą sodową. Tego wieczoru pogoda była okropna, lecz nad stolikami wisiał podłużny płócienny baldachim chroniący gości przed deszczem.

Przy stolikach siedziało ich niewielu; mężczyźni i kobiety palili papierosy i pili drinki przed udaniem się do hotelu lub do miejsc na Starym Mieście tętniących nocnym życiem.

Cel Numer Jeden przyzwyczyił się do wieczornej szklaneczki raki tak, jakby stanowiła treść jego życia. Białe, wyrabiany z winogron trunek o anyżowym smaku był zakazany w jego rodzinnej Libii oraz innych krajach, w których nie obowiązuje islam hanaficki, bardziej liberalna odmiana tej religii; jednak agent libijskiej bezpieki musiał czasem pić alkohol ze względów służbowych bądź w czasie wyjazdów za granicę. Teraz był ścigany i lekkie odurzenie alkoholem pomagało mu zasnąć; islam hanaficki, choć łagodny, nie zezwala na upijanie się.

Trzy metry od stolika zaczynała się jezdnia, po której sunęły nieliczne pojazdy. Ulicę trudno było określić mianem ruchliwej arterii nawet w weekendowe wieczory przy dobrej pogodzie. Chodnikiem tuż obok stolików poruszali się piesi i były agent z lubością wodził oczyma za przechodzącymi atrakcyjnymi kobietami z parasolkami. Rakı nieco rozgrzało, a widok zgrabnych nóg sprawiał, że deszczowy wieczór

upływał mu bardzo przyjemnie.



O dwudziestej pierwszej Sam Driscoll spokojnie i ostrożnie prowadził srebrnego fiata linea uliczką wiodącą do Starego Miasta Stambułu.

Blask ulicznych świateł roziskrzył mokrą szybę samochodu. Aut było coraz mniej, w miarę jak Sam zagłębiał się w Stare Miasto; zatrzymał się na czerwonym świetle i zerknął na ekran GPS-u przymocowany do deski rozdzielczej. Ustalwszy odległość do celu, wyciągnął rękę i położył dłoń na kasku motocyklowym. Kiedy zmieniło się światło, pokręcił szyją, żeby się rozluźnić, a następnie włożył kask na głowę i opuścił przyłbicę.

Skrzywił się na myśl o tym, co się za chwilę stanie; to było silniejsze od niego. Serce waliło jak młotem, a każda synapsa mózgu była rozgrzana do czerwoności; mimo to zdołał pokręcić głową i wypowiedzieć do siebie kilka słów.

Jako żołnierz i agent wywiadu zrobił niejedną okropną rzecz, ale nigdy nie dokonał czegoś takiego.

– Pacnięcie muchy, niech to szlag – mruknął.



Libijczyk pociągnął pierwszy łyk z drugiej tego wieczoru szklanki raki; srebrny fiat mknął szybko ulicą, znajdował się jakieś siedemdziesiąt metrów na północ od Celu Numer Jeden. Ten spoglądał w przeciwnym kierunku na piękną młodą Turczynkę; dziewczyna trzymała w lewej ręce czerwoną parasolkę, a prawą prowadziła na smyczy miniaturowego sznaucera. Siedzący w kafejce mężczyzna mógł się dokładnie przyjrzeć jej długim opalonym nogom.

Z lewej strony dobiegł krzyk i libijski agent skierował uwagę na skrzyżowanie ulic; zobaczył czterodrzwiowego srebrnego fiata, który cichą uliczką przemknął przez światła.

Mężczyzna sądził, że auto śmignie obok niego i pojedzie dalej.

Uniósł szklankę do ust; nie był zaniepokojony.

Nagle samochód z piskiem opon skręcił ostro w lewo i Libijczyk ujrzał sunącą na niego maskę.

Cel Numer Jeden wstał ze szklanką w dłoni, lecz jego nogi tkwiły nieruchomo na ziemi. Nie miał dokąd uciec.

Kobieta z miniaturowym sznaucerem krzyknęła piskliwie.

Srebrny fiat wpadł z impetem na stolik, uderzył w mężczyznę i cisnął go na ścianę hotelu, przygwałdzając go do niej i jednocześnie przygniatając do ziemi. Pęknięte żebra trzasnęły i wbiły się w organy wewnętrzne ciała niczym pociski wystrzelone z wielkokalibrowego sztucera.

Świadkowie, którzy siedzieli przy stolikach, opowiadali później, że mężczyzna w czarnym kasku siedzący za kierownicą wozu spokojnie włączył wsteczny bieg, spojrzął w lusterko, a następnie wycofał na ulicę i odjechał w kierunku północnym. Zachowywał się jak kierowca, który wyjechał w niedzielę na przejażdżkę, zaparkował przed sklepem i uprzytomniwszy sobie nagle, że zostawił w domu portfel, cofnął, by po niego wrócić.



Kilometr na południowy wschód od miejsca zdarzenia Driscoll zaparkował fiata na podjeździe prywatnego domu. Maskę auta była wgnieciona, a jej przednia część i zderzak pękły, lecz Sam zaparkował samochód w taki sposób, by uszkodzenia nie były widoczne z ulicy. Potem wysiadł i podszedł do stojącego nieopodal skutera przyczepionego do łańcucha. Zanim go odpiął i odjechał w deszczową noc, wysłał przez telefon krótką zakodowaną wiadomość.

„Cel Numer Jeden zlikwidowany. Sam jest czysty”.



Pałac Çırağan to wystawny przybytek wzniesiony w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku dla Abdüłaziza I, sułtana rządzącego w okresie długotrwałego schyłku imperium osmańskiego. Swoją rozrzutnością władca wpędził kraj w długi, został zdetronizowany, a następnie „zachęcony” do popełnienia samobójstwa; dokonał tego, o dziwo, za pomocą nożyczek.

Nic nie odzwierciedla autodestrukcyjnej ekstrawagancji Abdüłaziza bardziej wymownie niż Çırağan. Mieści się w nim obecnie

pięciogwiazdkowy hotel; jego pieczołowicie przystrzyżone trawniki i baseny z krystalicznie czystą wodą ciągną się od fasady gmachu aż do zachodniego brzegu cieśniny Bosfor, pasa wody oddzielającego Europę od Azji.

Restauracja Tuğra, mieszcząca się na pierwszym piętrze pałacu Çırağan, charakteryzuje się wspaniałymi wysokimi sklepieniami i oknami, z których rozpościera się bajeczny widok na otoczenie hotelu i cieśninę; nawet w deszczowy wieczór goście lokalu mogli, siedząc przy stolikach, radować oczy feerią światła przepływających jachtów.

Oprócz wielu bogatych turystów spożywających wyśmienite posiłki w restauracji znajdowało się dość liczne grono ludzi biznesu – z całego świata, siedzących samotnie i w grupkach.

John Clark dobrze do nich pasował; siedział sam przy stoliku ozdobionym kryształami, białą jak kość słoniowa porcelaną i połacaną zastawą. Wybrał mały stolik przy wejściu, oddalony od wielkich okien z widokiem na Bosfor. Kelner, przystojny mężczyzna w średnim wieku, ubrany we frak, podał mu obfity posiłek; choć Clark nie mógł narzekać na smak jedzenia, jego uwaga skierowana była na stolik po przeciwnej stronie sali.

Chwilę po tym, jak John wsunął do ust pierwszy kęs delikatnej raszpli, maître d'hôtel zaprowadził do stolika przy oknie trzech Arabów w drogich garniturach; następnie przyjął od nich zamówienie na koktajle.

Dwaj z tej trójki byli gośćmi hotelu, Clark wiedział o tym dzięki obserwacji przeprowadzonej przez jego oddział oraz ciężkiej pracy analityków wywiadu zatrudnionych przez agencję. Byli bankierami z Omanu i wcale go nie interesowali. Bardzo interesował go natomiast trzeci z nich, pięćdziesięcioletni Libijczyk z siwymi włosami i równo przystrzyżoną brodą.

Był to Cel Numer Dwa.

Clark spożywał posiłek, trzymając widelec w lewej ręce; praworęczny Amerykanin musiał się tego nauczyć po tym, jak odniósł ranę. W jego prawym uchu tkwiło małe urządzenie w cielistym kolorze wzmacniające głos; dzięki niemu mógł przysłuchiwać się rozmowie Arabów. Niełatwo było odseparować ją od głosów innych gości, lecz po kilku minutach John zdołał wychwycić słowa wypowiedane przez Cel

Numer Dwa.

Przeniósł znów wzrok na rybę i czekał.

Kilka minut później kelner przyjął od Arabów zamówienie. Clark usłyszał, że jego cel zamawia cielęcinę külbasti, dwaj pozostali wybrali inne dania.

Dobrze. Gdyby Omańczycy zamówili to samo co ich libijski towarzysz, Clark musiałby postępować według planu B. Zakładał on, że John wychodzi na ulicę, tam zaś musiałby uwzględniać cholernie dużo niewiadomych, o wiele więcej niż w restauracji.

Jednak każdy z Arabów zamówił inną przystawkę i Clark po cichu dziękował swojemu szczęściu; wyjął słuchawkę z ucha i wsunął ją do kieszeni.

Pił właśnie porto, kiedy do stolika, przy którym siedział cel, kelner przyniósł porcje chłodnika i białe wino. Amerykanin nie zerkał na zegarek; czas akcji był precyzyjnie obliczony, lecz John wiedział, że nie wolno mu zdradzać niepokoju ani nerwowości. Z przyjemnością sączył wino i liczył w głowie minuty.

Tuż przed tym, jak talerze z zupą zabrano ze stolika Arabów, Clark zapytał kelnera, gdzie jest łazienka, a ten wskazał mu drogę obok kuchni. W łazience wszedł do kabiny, usiadł i szybko zaczął rozwijać bandaż na rękę.

Bandaż nie był lipny; miał naprawdę zranioną rękę, która bolała jak wszyscy diabli. Przed paroma miesiącami zmiażdżono ją młotkiem; John przeszedł trzy operacje składowania kości, lecz od dnia zranienia nie przespał porządnie ani jednej nocy.

Opatrunek, choć prawdziwy, pełnił jednak dodatkową funkcję. Pod grubym bandażem, między dwiema szynami unieruchamiającymi palec wskazujący i środkowy, John ukrył małą strzykawkę. Była umieszczona w taki sposób, że mógł odsunąć wąską końcówkę bandaża, zerwać zatyczkę z igły i wbić ją w ciało danej osoby.

To jednak był plan B, John zaś postanowił wybrać bardziej korzystny plan A.

Wyjął strzykawkę i włożył ją do kieszeni, a następnie powoli, ostrożnie owinął rękę bandażem.

Strzykawka zawierała dwieście miligramów specjalnej trucizny

wytworzonej na bazie sukcyńlocholino. Dawka mogła być albo wstrzyknięta, albo podana doustnie. W obu przypadkach była śmiertelna, choć, rzecz jasna, zastrzyk stanowił znacznie skuteczniejszą metodę podania substancji.

John wyszedł z łazienki z przyrządem ukrytym w lewej dłoni.

Nie wstrzelił się idealnie w czas. Wyszędłszy, minął drzwi kuchni i spodziewał się, że zobaczy kelnera niosącego przekąski do stolika Arabów, jednak w przejściu nikogo nie było. Udał, że ogląda malowidła na ścianach i złocone ornamenty w holu. Wreszcie pojawił się kelner z tacą na ramieniu pełną dań. John zastąpił mu drogę i zażyczył sobie, by mężczyzna postawił tacę i przyprowadził szefa kuchni. Kelner ukrył zniecierpliwienie za powierzchowną uprzejmością i spełnił żądanie.

Kiedy zniknął za wahadłowymi drzwiami, Clark odsłonił dania, znalazł cielęcinę i wstrzyknął truciznę w sam środek cienkiego plastra mięsa. Na sosie pojawiło się kilka bąbelków, lecz większość dawki trafiła do pieczenia.

Gdy po chwili zjawił się kucharz, Clark zdążył już przykryć tacę i schować strzykawkę do kieszeni. Wylewnie podziękował mu za wyśmienitą kolację, kelner zaś czym prędzej zaniósł dania do stolika; nie chciał, by goście odmówili ich przyjęcia ze względu na to, że wystygły.

Kilka minut później John zapłacił rachunek i wstał. Kelner podał mu płaszcz; wkładając go, agent zerknął ukradkiem na Cel Numer Dwa. Libijczyk pogrążony był w rozmowie z przybyszami z Omanu; właśnie wkładał do ust ostatni kęs cielęciny.

Kiedy Clark wychodził do holu, Cel Numer Dwa poluźnił krawat.

Dwadzieścia minut później sześćdziesięcioletni Amerykanin stał pod parasolem w parku Büyükşehir Belediyesi naprzeciwko hotelu i restauracji; do wejścia podjechała z dużą szybkością karetka pogotowia.

Trucizna była śmiertelna; w żadnej karetce na świecie nie wożono odtrutki na nią.

Cel Numer Dwa albo już nie żył, albo niebawem wyzionie ducha. Lekarze stwierdzą, że mężczyzna doznał ataku serca, prawdopodobnie więc nie zostanie wszczęte śledztwo; nikt nie będzie sprawdzał, kto jeszcze jadł kolację w restauracji Tuğra tego wieczoru, gdy doszło do nieszczęśliwego, lecz całkowicie naturalnego zdarzenia.

Clark odwrócił się i ruszył ku ulicy Muvezzi przebiegającej w odległości czterdziestu pięciu metrów w kierunku zachodnim. Złapał taksówkę i kazał kierowcy jechać na lotnisko. Nie miał bagażu, tylko parasol i telefon komórkowy. Wcisnął klawisz połączenia, kiedy taksówka ruszyła z miejsca.

– Cel Numer Dwa zlikwidowany. Jestem czysty – oznajmił. Następnie rozłączył się, wsunął lewą rękę pod połę płaszcza i włożył komórkę do kieszeni marynarki na piersi.



Domingo Chavez odebrał połączenia od Driscolla i Clarka, a teraz skupił się na swojej części akcji. Siedział na starym państwowym promie kursującym pomiędzy Karaköy, które leżało na europejskim brzegu Bosforu, i Üsküdar na brzegu azjatyckim. Obok niego po obu stronach kabiny ogromnego promu czerwone drewniane ławki zapełniali mężczyźni i kobiety; jednostka powoli, lecz pewnie zmierzała do miejsca przeznaczenia, kołysząc się na falach cieśniny.

Ten, który był celem Dinga, siedział sam, zgodnie z informacjami uzyskanymi podczas obserwacji. Rejs był krótki, trwał czterdzieści minut; Chavez musiał go zdjąć na promie, gdyż później mężczyzna, dowiedziawszy się o tym, że jeden z kolegów został zabity, mógł przedsięwziąć środki ostrożności.

Cel Numer Trzy był mocno zbudowanym trzydziestopięcioletkiem. Usadowił się na ławce przy oknie i przez pewien czas czytał książkę, lecz po kwadransie wyszedł na pokład na papierosa.

Chavez siedział jeszcze przez chwilę, by upewnić się, że nikt spośród pasażerów nie zwrócił uwagi na wyjście Libijczyka; następnie wstał i wyszedł drugim wyjściem.

Deszcz siąpił jednostajnie, nisko wiszące chmury całkowicie zasłaniały blask księżycy; Amerykanin poruszał się, wykorzystując długie cienie skrywające dolny pokład. Zmierzał do miejsca obok relingu oddalonego od celu o jakieś piętnaście metrów w stronę rufy; stanął tam w cieniu i patrzył na światła migoczące na brzegu i ruchomą ciemność. Katamaran sunął pod oświetlonym mostem Galata.

Kątem oka obserwował cel, który stał nieopodal relingu i palił

papierosa. Od deszczu osłaniał go górny pokład. Przebywało tam jeszcze dwóch innych mężczyzn, lecz Ding od wielu dni śledził Libijczyka i wiedział, że ten jeszcze przez jakiś czas pozostanie na pokładzie.

Chavez czekał w cieniu; dwaj nieznajomi wrócili do kabiny pasażerskiej.

Ding zaczął powoli zbliżać się od tyłu do Libijczyka.

Cel Numer Trzy zdążył się już rozleniwic, przebywając za granicą, lecz nie zdołałby przeżyć jako agent bezpieczeństwa i szpieg, gdyby był idiotą. Pilnował się. Ding musiał przejść w zbyt małej odległości od światła pokładowego; mężczyzna zauważył poruszający się cień, wyrzucił papierosa i wykonał zwrot. Jego ręka powędrowała do kieszeni płaszcza.

Chavez rzucił się w stronę Libijczyka. Trzema szybkimi jak błyskawica susami doskoczył do relingu i lewą ręką zablokował rękę rosnącego agenta sięgającą po broń. W prawej trzymał skórzaną pałkę, którą rąbnął go mocno w skroń; rozległ się głośny trzask i mężczyzna osunął się na pokład między Chavezem i relingiem.

Amerikanin wsunął pałkę do kieszeni, a następnie chwycił nieprzytomnego agenta za głowę i ją unióś. Rozejrzawszy się szybko, krótkim gwałtownym szarpnięciem skrzył mu kark. Zerknął ponownie w jedną i drugą stronę, a potem dźwignął Libijczyka na poręcz relingu i przerzucił na drugą stronę. Ciało zniknęło w ciemności. Szum oceanu i dudnienie silników promu niemal całkowicie zagłuszyły plusk.

Kilka minut później Chavez wszedł do kabiny pasażerskiej i usiadł na innym miejscu. Wyjął telefon i nadał krótki komunikat:

– Cel Numer Trzy zdjęty. Ding jest czysty.



Nowy stadion Türk Telecom Arena liczy ponad pięćdziesiąt dwa tysiące miejsc i zapełnia się do końca, kiedy gra miejscowa drużyna piłkarska Galatasaray Stambuł. Padał deszcz, lecz ogromna widownia nie mokła, gdyż siedziała na zadaszonych trybunach; zadaszenie nie obejmowało jedynie boiska.

Kibice zjawili się tłumnie, by obejrzeć mecz gospodarzy z lokalnym rywalem Beşiktaşem; jeden z widzów, cudzoziemiec, nie śledził jednak



tego, co działo się na murawie. Dominic Caruso słabo orientował się w piłce nożnej; jego uwaga skupiała się na Celu Numer Cztery. Był nim trzydziestojednoletni brodaty Libijczyk, który przybył na mecz z grupą tureckich znajomych. Dominic zapłacił kibicowi siedzącemu kilka rzędów za celem, by ten zamienił się z nim miejscami; dzięki temu widział teraz dobrze Libijczyka, a zarazem miał blisko do wyjścia.

Podczas pierwszej połowy Caruso wznosił okrzyki, kiedy wznosili je ci, którzy siedzieli obok, i zrywał się na równe nogi, kiedy oni się zrywali, czyli praktycznie raz po raz. W czasie przerwy niemal wszystkie ławki opustoszały, ponieważ kibice wyszli do budek z przekąskami i do ubikacji. Jednak Cel Numer Cztery i większość jego towarzyszy pozostała na miejscach i tak samo uczynił Caruso.

Tuż po rozpoczęciu drugiej połowy drużyna Galatasaray zdobyła bramkę, mimo że nie miała przewagi na boisku; widownia się ożywiła. Wkrótce potem, gdy do końca meczu zostało trzydzieści pięć minut, Libijczyk spojrzął na ekran swojego telefonu, a potem wstał i skierował się do schodów.

Caruso dotarł do nich wcześniej i pomknął do najbliższej łazienki. Stał przed wejściem i czekał na Libijczyka.

Pół minuty później Cel Numer Cztery wszedł do toalety. Dominic szybko wyjął z kieszeni kurtki białą kartkę z napisem *Kapah*, czyli „Zamknięte”, i przykleił ją do drzwi wyjściowych. Taką samą kartkę umieścił przy wejściu. Następnie wszedł do środka i zamknął drzwi.

Cel Numer Cztery stał przy jednym z pisuarów obok dwóch innych mężczyzn. Okazało się, że są razem; niebawem umyli ręce i ruszyli ku wyjściu. Dominic podszedł do pisuaru cztery stanowiska od celu; stojąc, wyjął ukryty w spodniach sztylet.

Libijczyk zasnął rozporek, odszedł od pisuaru i skierował się ku umywalce. W chwili gdy mijał nieznaną mężczyznę w koszulce i chuście Galatasarayu, ten raptownie odwrócił się w jego stronę. Libijski agent poczuł uderzenie w brzuch. Potem nieznanemu pchnął go mocno na kabiny znajdujące się naprzeciwko. Chciał sięgnąć po nóż w kieszeni, lecz napór przeciwnika był zbyt silny i Libijczyk zatoczył się do tyłu.

Wpadli do boksu i runęli na sedes.

Dopiero wtedy młody Libijczyk spojrział w dół. Z jego brzucha sterczała rękojeść noża.

Ogarnęła go słabość, której towarzyszył obezwładniający strach.

Napastnik pchnął go na posadzkę obok sedesu. Nachylił się do Libijczyka.

– To za mojego brata Briana Carusa. Zabiliście go w Libii, a dzisiaj wszyscy do ostatniego zapłacicie za to życiem.

Zdezorientowany agent libijskiej bezpieki spojrział na niego ze zdumieniem. Znał angielski i zrozumiał, co tamten do niego mówi, ale nie znał żadnego Briana. Zabił wielu ludzi, niektórych w kraju, ale byli to Libijczycy, Żydzi i rebelianci. Wrogowie pułkownika Kaddafiego.

Nigdy nie zabił Amerykanina i nie miał pojęcia, o czym mówi ten kibic Galatasarayu.

Cel Numer Cztery wyzionął ducha na posadzce toalety stadionu piłkarskiego. Był pewien, że padł ofiarą straszliwej pomyłki.



Caruso zdjął zakrwawioną koszulkę piłkarską, pod którą miał inną, białą. Tę także zdjął i ukazała się koszulka rywali miejscowej drużyny. Czarno-białe barwy Beşiktaşu pomogą mu wtopić się w tłum, tak jak pomogły mu w tym czerwień i złoto Galatasarayu.

Wcisnął koszulkę Galatasarayu za pasek spodni, wyjął z kieszeni czarną czapkę i włożył ją na głowę.

Stał przez chwilę nad ciałem zabitego. W przyptywie ślepego gniewu chciał na nie splunąć, lecz powstrzymał się przed tym; wiedział, że pozostawianie na miejscu zabójstwa swojego DNA byłoby głupotą. Wyszedł z toalety, zerwał z obojga drzwi kartki z napisem *Kapah* i ruszył w kierunku wyjścia ze stadionu.

Minąwszy kołowrotki, znalazł się poza zasięgiem zadaszania; padał rzęsisty deszcz. Wyjął z kieszeni bojówek telefon komórkowy.

– Cel Numer Cztery wyeliminowany. Dom jest czysty. Bułka z masłem.